

## Anna Kawecka

Sygnatura notacji: **N0126**

Data nagrania: **2008 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **41 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Anna Pietraszek:** 17 września. Jakie wspomnienie z tymże dniem pani wiąże?

**Anna Kawecka:** No, tak. Wejście wojsk radzieckich, sowieckich i z samego tego dramatu nocnego, bo to oczywiście się wszystko w nocy odbywało, niewiele co pamiętam, bo to był szok przecież, obudzono nas ze snu głębokiego, bo to było gdzieś, powiedzmy północ czy troszkę przed północą. Straszne hałasy, krzyki, przekleństwa, które później zrozumiałam, będąc na Syberii. I oczywiście wyrzucenie, tak jak staliśmy prawie w piżamach, w koszulkach nocnych, gdzieś tam po drodze się ubieraliśmy w pośpiechu. Wyrzucono nas po prostu z domu pod niebo. Znaleźliśmy się na wsi u naszych, u pracowników, w domu pracowników moich rodziców. I tam przechowywali nas przez trzy doby, żeby jakoś zorganizować coś, żebyśmy jakieś mieli ubranie, żebyśmy mieli coś do codziennego użytku. Ze wsi wszyscy bardzo byli przejęci. Życzliwi byli nam bardzo, to byli Rusini tak zwani, czyli grekokatolicy, których bardzo duża ilość pracowała na folwarku moich rodziców. I myśleliśmy, co dalej. Rodzice się przygotowywali do tego. Przepraszam, nie rodzice, matka moja, bo ojciec już był w wojsku. Nie było go w tym momencie. I tak to wyglądało, że starali się spić tych wszystkich wojaków. W piwnicy były wina. Żeby tam się wkraść i coś wyciągnąć z tego naszego domu. Ja pamiętam już tę chałupinę na wsi, później przygotowania do wyjazdu do moich dziadków, do majątku moich dziadków, który był nie nad samą granicą, bo myśmy byli trzy kilometry od granicy, położony był majątek moich rodziców. Majątek moich dziadków był na zachód, na północny zachód od Tarnopola, więc dzieliło nas jakieś 30 kilometrów, czy może trochę więcej. I po trzech tych dobach znaleźliśmy się w Czernielowie Mazowieckim. Tak się nazywał majątek moich dziadków. Tam dotarli trochę później, bo to było... Majątki przygraniczne były przecież od razu, parę kroków. Trzy kilometry czy trzy i pół było od Zbrucza. Na Zbruczu była granica. I później zawieziono nas w nocy furami i już trochę

przygotowanych, już było trochę rzeczy, trochę żywności, do dziadków moich, rodziców mojej mamy, do Czernielowa. Tam trochę później zrobił się... Weszli sowieci. W Czernielowie było inaczej, bo tam nie było takiej napaści nocnej. Tam było po prostu zawiadomienie, jakichś trzech wojaków odwiedziło moich dziadków i powiedzieli, że w ciągu dwóch godzin muszą się wynieść z majątku. I tam było już uciekinierów wielu u moich dziadków i nasza rodzina, czyli nas trójka, bo jeszcze mieliśmy czwartą siostrę, ale się urodziła już później. I moja mama, czyli czwórka nas.

**Anna Pietraszek:** Dwie godziny?

**Anna Kawecka:** No i oczywiście w dwie godziny się moi dziadkowie nie pozbiali, bo pakowali fury, ładowali rzeczy, przeciągnęło się to do wieczora, a wieczorem już wojsko weszło i te wszystkie myśmy, już wyjeżdżali wszyscy z tymi osobami, które tam się... Z uciekinierami, których moi dziadkowie przechowywali. I oczywiście zaczęła się awantura, przeglądanie, rewizja wozów, oczywiście prawie wszystko było wyrzucone na ziemię, tak że już prawie z pustymi wozami jechaliśmy do Tarnopola. To było 16 kilometrów od Tarnopola. Tam mieszkała moja babcia ze strony ojca z dwiema córkami. Dużo znajomych moich dziadków, więc dziadek nas dowiózł, z nami pojechał do Tarnopola i zniknął, bo bał się zostawać. Moja babcia się zaczepiła u znajomych swoich w Tarnopolu, a myśmy we czwórkę z moją mamą znaleźli się u babci mojej ze strony ojca. I dalej to już były, potoczyło się później już bardzo szybko. Różne działy się rzeczy niepokojące bardzo i tragiczne w Tarnopolu. Były aresztowania, były wywózki już takie, nie wiadomo w jakim kierunku. Była taka wpadka w jednym z gimnazjów tarnopolskich, gdzie uczniem był syn naszej późniejszej wybawicielki, opiekunki, tak zwanej cioci Muszki, przyłatanej cioci, która nas w ogóle uratowała z tej Syberii. Wywieźli całe gimnazjum z nauczycielami. Później już wiele lat po wojnie dowiedzieliśmy się, gdzie ich stracili, gdzie ich zamordowali, niedaleko Tarnopola wszystkich wymordowali, dosłownie tak jak w Katyniu. A później... Cóż, działy się różne rzeczy, wiadomo było, że Rosjanie już szaleją, więc mówię, było mnóstwo aresztowań. I tak doszło do grudnia. W grudniu zjawił się nasz ojciec, bo moja mama była bliska rozwiązania z czwartym dzieckiem i to był chyba 6. albo 5. grudzień, którego mój ojciec się zjawiał. I tak dotrwaliśmy do 15 grudnia czy 14. na 15., czy z 10. na 11., przepraszam. Jeszcze inaczej, z 9. na 10. Już to mi się wszystko myli, bo to różne jeszcze zdarzenia były w tym czasie. I w nocy przywędrowało trzech panów. Również z awanturami, z krzykami, z wywijaniem karabinami, zrobiło się zamieszanie, rewizja, wyrzucanie rzeczy przez okno. Myśmy stali wszyscy pod ścianą z rękoma do góry, karabiny mieliśmy przy skroniach i tak się odbywała nocna rewizja. Straszne to było. Myśmy byli, dzieci były, myśmy... Nasza trójka była tak przerażona, że w ogóle paraliż jakiś kompletny. I gdzieś tak nad ranem ojca wyprowadzili. Później się zaczęły takie dni, kiedy mama moja zaczęła chodzić i dowiadywać się, co z ojcem się stało. Okazało się, że jest w tarnopolskim więzieniu, więc usiłowała coś tam zanieść, jakieś paczki, jakieś wiadomości. Widzeń oczywiście żadnych nie było. Później się zbliżały święta. Aha, w międzyczasie zarekwirowano prawie całe mieszkanie. Został jeden pokój i pokój służbowy przy kuchni, a nas było sporo, bo była babcia, dwie córki, czyli siostry mojego ojca i nas już później czwórka, bo w noc sylwestrową urodziła się moja najmłodsza siostra i było rzeczywiście koszmarnie ciasno, bo to był nieduży pokój i taka służbówka przy kuchni. I tak dotrwaliśmy do wiosny. Na wiosnę moja mama stwierdziła, że trzeba jakoś szukać sobie jakiegoś pomieszczenia, bo tam rzeczywiście było trudno żyć. I wynajęła na peryferiach Tarnopola w domku takim z ogrodem, to było chyba dwupokojowe mieszkanie. I tam się przeprowadziła z moim najstarszym bratem, i z najmłodszą siostrą. Mój brat został z babcią tutaj w tym mieszkaniu, w tym jednym pokoju i z dwiema ciociami, a ja się przeprowadziłam do mojej babci tarnopolskiej, która tam sama mieszkała

ze swoją opiekunką i tam byłam do momentu aż nastąpił 13 kwietnia. 13 kwietnia 1940 roku zaczęła się druga tura wywózek, bo pierwsza była w lutym. I mnóstwo ludzi wtedy padło ofiarą. U nas się tak to potoczyło, że z dwóch miejsc nas wywożono, czyli osobno babcię i mojego brata. Jedna z siostr mojego ojca, ponieważ mały chłopiec i staruszka, z trudem dostała się w ostatniej chwili do tego eszelonu naszego, żeby ją opiekować. Nie wiadomo było, kogo jeszcze zabrali, gdzie. I drugie miejsce to była moja mama z dwójką mojego rodzeństwa i po mnie w tym momencie, w nocy też to się odbywało oczywiście, wyszła do babci mojej, tam, gdzie mieszkałam, gospodyni syna, czy ją chcę jechać, czy ją chcę zostać. I oczywiście, jak to dziecko, do mamy, do mamy, więc przywieziono mnie tam do mojej mamy i już wywieziono nas razem, czyli trójkę dzieci i mojego brata najstarszego, mnie i moją najmłodszą siostrę, i mamę. I też nie wiedzieliśmy, co się tam z moim bratem dzieje środkowym, i co z babcią, i co z ciociami.

**Anna Pietraszek:** A pozwolono zabrać rzeczy?

**Anna Kawecka:** Bardzo niewiele. Bardzo niewiele. Mieliśmy minimalną ilość rzeczy. Jakies koce, jakies kołdry, trochę rzeczy do ubrania i wiem, że mieliśmy worek sucharów, bo to już się wtedy coś tam przygotowywało w domu.

**Anna Pietraszek:** A czy wiedzieliście dokąd was wiozq?

**Anna Kawecka:** Nie. Skądże znowu. Wpakowali nas do towarowych pociągów z małymi oknami, zakratowanymi, okropnie brudne, z karaluchami, z dziurą w podłodze jako wychodek i podwójne prycze. Więc... Na każdej z prycz było 10-12 osób, tak że ciasnota była straszna. I tak jakiś czas trzymali nas na tej gdzieś tam bocznic kolejowej i już nie wiem, godziny to były chyba. I tak, prawda, pojechaliśmy nie wiadomo w jakim kierunku, nie wiadomo gdzie jechaliśmy około trzech tygodni. Tak na początku czerwca przyjechaliśmy, dojechaliśmy do Omska. Tam się zatrzymaliśmy.

**Anna Pietraszek:** A co jedliście po drodze?

**Anna Kawecka:** Te suchary, dawano nam kipyatok, jak to zwykle i raz dziennie jakąś potworną zupę, albo krupnik, albo kapuśniak z jakiejś takiej podgniętej kapusty. To „szczy” się nazywało po rosyjsku. I właściwie nic więcej. Tak że nie powiem, żebyśmy nie głodowali. Te suchary troszkę nam pomagały, które bardzo szybko znikaly.

**Anna Pietraszek:** A w Omsku?

**Anna Kawecka:** W Omsku nas wyładowano. Mnóstwo. A pod gołym niebem mnóstwo ludzi, bo to był skład, najliczniejszy skład. Ja gdzieś mam takie zestawienie ile było wagonów w tych wszystkich wywózkach, kiedyś na jakimś takim odczycie byłam. O ile sobie przypominam, musiałabym zajrzeć do notatek. 110 wagonów, zdaje się, nasz pociąg miał. Nie. To było tak, że 13 kwietnia 160 pociągów, 160 pociągami odbywały się wywózki, a każdy pociąg miał od 60 do 70 wagonów. I tam później z tego wyszła jakaś liczba, ile nas wywieźli. I bardzo były długie te składy w zwiqzku z powyższym i tak jechaliśmy, zatrzymywaliśmy się. Tam, gdzie były osiedla, to nam jeszcze te okna zabijano deskami, żeby nic nie było widać, więc jedyny kontakt ze światem, to był przez ten wychodek, dziurę w podłodze. I tak jechaliśmy, zatrzymywaliśmy się i czasem nas wypuszczano do lasu, żeby się przewietrzyć i inne

rzeczy załatwić. I dojechaliśmy do Omska na początku czerwca. Tam nas wyrzucono pod gołe niebo. Jakiś czas... Tak, przy tych swoich kubkach jakieś rzeczy, tam bytowaliśmy na tych łąkach i później przyjechały samochody, i nas rozwożono w różne strony. I wtedy zobaczyliśmy na jednym z samochodów właśnie babcię, ciocię i mojego brata. Ale niestety to było tak niemożliwe, żeby jakoś z nimi się połączyć, bo to wszystko szybko, szybko, szybko, wszystkich ładowali, rozwożili w różnych kierunkach, więc po prostu uciekli nam. Nie zdołaliśmy jakoś... Moja mama nie potrafiła tego jakoś, nie zdążyła załatwić, żeby jakoś się razem połączyć. I wywieźli w jakimś tam kierunku, nie wiedzieliśmy w jakim, a nas wywieźli na południe do pierwszej takiej miejscowości, do której później wracaliśmy. To był Pawłodar nad Irtyszem. I tam w tym Pawłodarze znowu byliśmy jakiś czas pod gołym niebem, było takie obozowisko ogromne i znowu nas zaczęli rozwozić w różnych kierunkach. Nas wladowali na barkę i płynęliśmy chyba dwie doby czy troszkę więcej w kierunku na południe, w okolice Semipałatyńska. Więc wyrzucono nas z tych barek w potwornych warunkach tam jechaliśmy, był straszny tłok, nawet ktoś się utopił w nocy, gdzieś wędrując po tej barce, żeby znaleźć wychodek po prostu, bo to nie można było inaczej tego nazywać. Jakiś pan się utopił. To mało było z nami mężczyzn, bo to wszyscy albo byli w wojsku, albo uciekali, ukrywali się. W każdym razie ktoś tam był, jakiś pan się utopił. I przywieziono nas znowu do Semipałatyńska. Znaczący w okolice Semipałatyńska. I myśmy trafili do takiej miejscowości, która się nazywała Pojma, na południe od Semipałatyńska. To już było przedgórze Ałtaju, więc takie sobie górki, dolki i mnóstwo wielbłądów, którymi myśmy się zachwycali. Takie były sympatyczne zwierzaczki, na których później często jeździliśmy. Cudowne to są zwierzęta. I w tej Pojmie tam były dwie rodziny, jedną zabrano do kołchozu, a ponieważ mama była z malutkim dzieckiem, ona się w noc sylwestrową urodziła, ta nasza mała, więc jeszcze było maleńkie dziecko poodparzane, bo to nie było czym, jak myć w tym pociągu w czasie jazdy i tak to było. Dostaliśmy taką lepiankę, ziemiankę wpuszczoną do ziemi, gdzie było mnóstwo insektów, pchły, pluskwy. I niestety tarantule tam też się znalazły, tak że mój brat o mało kiedyś nie miał wypadku, bo rano wstawał i włożył nogę do sandałka, a tam była kulka zwinięta, więc ta kulka mu zaczęła przeszkadzać, chociaż już tam tę nóżkę trzymał jakiś czas i wyjął, wysypał, a tam rozłożyła swoje łapki tarantula i sobie pobiegła w jakimś tam kierunku, tak że udało już się złapać. A strasznie nam dokuczały pluskwy i pchły. I moja mama kiedyś, pisząc list, jeszcze jak można było pisać przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej, to pisała, że ja jestem jedyną wspaniałą łapaczką, głównie pcheł, bo pluskiew nie było trudno złapać. I zaczęły się poszukiwania tamtej naszej części rodziny. Mama zaczęła jeździć gdzieś do jakichś kantorów, tych, które się nami opiekowały, gdzieś do jakiejś centrali parę kilometrów od nas i tak to poszukiwanie jakiś czas trwało. W końcu dostaliśmy odpowiedź, że na północny zachód gdzieś od Pawłodaru, przez który przejeżdżaliśmy, że tam się znalazła nasza rodzina. I zaczęła się korespondencja, starania się o połączenie. Ponieważ myśmy byli tam w lepszych warunkach trochę w tej Pojmie, więc obie, i mama, i ciocia moja, która była z babcią i z bratem, starały się obie, żeby tamtą część rodziny można było do nas sprowadzić. I niby się już okazało, że owszem, jest pozwolenie i w ostatniej chwili to odwołali, że nie, że możemy my tam przyjechać, a nie oni tu i zaczęły się następne starania, tak że dopiero późną jesienią, gdzieś to był chyba początek listopada udało nam się tam pojechać. Warunki nie najlepsze rzeczywiście, tu myśmy mieli trochę lepsze. Chociaż też trzeba się było starać o jedzenie. Mama nie pracowała, bo miała to maleństwo, więc dostawaliśmy jakieś tam mleka, mleko, powiedzmy, trochę jakiejś mąki i kasz. I tak pomaleńku jakoś się przeżywało.

**Anna Pietraszek:** To ile czasu, ile lat tam państwo byli?

**Anna Kawecka:** Byliśmy na Syberii sześć lat i dwa miesiące.

**Anna Pietraszek:** I powrót.

**Anna Kawecka:** I powrót w 1946 roku.

**Anna Pietraszek:** Jaką trasą i do czego?

**Anna Kawecka:** Więc jechaliśmy tak, ponieważ byliśmy blisko Atmoleńska, to teraz jest stolica Kazachstanu i nazywa się Astana. Do Pawłodaru, z Pawłodaru do Omska, z Omska do Pietropawłowska, później był Czelabińsk, później był Swierdłowski, później był Kazań, Gorki i pod Moskwę. Ponieważ okazało się, że w jakimś z tych pociągów wracających była jakaś epidemia, wobec tego zatrzymali nas przed Moskwą i inną trasą zupełnie już od Moskwy nas wieziono. Tu mam jakąś lukę. Nie bardzo pamiętam jak to i nawet ciocia Muszka, nasza syberyjska ciocia nie bardzo pamiętała, w każdym razie później znaleźliśmy się w Orszy, w Homlu i do Brześcia. I z Brześcia, już w Brześciu przesiadaliśmy się do polskich pociągów, bo tam te były te szerokotorowe i wylądowaliśmy w Skarżysku-Kamiennej. Tam był ten nasz taki etap pośredni i tam była już pomoc Czerwonego Krzyża, tam dostaliśmy ubranie, mieszkanie w jakichś barakach i wszyscy poszukiwali swoich rodzin, którzy nie wiedzieli, gdzie ktoś z rodziny się znajduje.

**Anna Pietraszek:** Czyli właściwie jechaliście tam, gdzie po prostu można było jechać. Bez jakiegoś kierunku, planu?

**Anna Kawecka:** Nie, nie, nie. To nas już przewieziono do Skarżyska-Kamiennej, bo tam było to miejsce, gdzie akurat kilka tych naszych eszelonów tam dowieziono do Skarżyska. Było kilka takich punktów w Polsce, gdzie kierowane były te nasze...

**Anna Pietraszek:** Czyli do takich punktów zorganizowanych.

**Anna Kawecka:** Tak, tak.

**Anna Pietraszek:** ...przez pomoc, tak?

**Anna Kawecka:** Zorganizowane punkty...

**Anna Pietraszek:** To nie było tak, że do rodziny, do domu.

**Anna Kawecka:** Nie, nie, nie. To był jeszcze taki punkt, gdzie właśnie skąd się wyjeżdżało do rodziny czy nie do rodziny, gdzieś tam, gdzie można było znaleźć jakieś miejsce, żeby się ulokować. I nasza ciocia Muszka, syberyjska ciocia tam nawiązała kontakt z moją babcią czermielowską, czyli matką mojej mamy, która wtedy mieszkała z jedną z sióstr mojej mamy na Śląsku koło Bytomia, i tam pojechaliśmy po jakimś czasie, jak już mieliśmy trochę ubrania, trochę byliśmy odwzeleni, bo to przecież była straszna plaga i już znaleźliśmy się po jakichś dwóch chyba tygodniach,

coś w tym sensie. Ciocia Muszka oczywiście też znalazła swoją rodzinę, matkę i siostrę, ale jednak nas odwiozła. Była jakiś czas tam, moja rodzina zorganizowała jakieś doprowadzenie do normalności, była pomoc już, unrowska tam też dotarła, Polska miała tę pomoc unrowską. Myśmy niby też mieli, ale nie mieli, bo niby była w Kazachstanie od 1943 roku pomoc unrowska, ale gdzieś zniknęła. Myśmy dopiero dostali przed samym wyjazdem coś tam na drogę, jakieś materiały, z którego coś się szyło, trochę żywności, mydła i takie różne rzeczy. Do Polski wróciłam tylko ja z moim ode mnie o półtora roku starszym bratem, a cała rodzina tam została. To znaczy najpierw zmarła podczas epidemii czerwonki w 1942 roku, babcia, mój brat starszy i moja siostra najmłodsza. W ciągu dwóch tygodni trójka poszła. Straszna była wtedy epidemia i około 100 osób pochowaliśmy na cmentarzu. Na stepie po prostu taki powstał polski cmentarz. Później, to był 1942 rok, lipiec-sierpień, na przełomie lipca i sierpnia, później w 1943 roku zmarła w grudniu moja mama. Zresztą właściwie mogę powiedzieć, że zamordowana, bo po takim przesłuchaniu w NKWD, była pobita, miała uszkodzenia wewnętrzne, miała złamaną nogę i miała również dyzenterię, czyli tę tak zwaną bezkrwawą, nie czerwonkę, tylko rodzaj takiej bezkrwawej biegunki. Znalazła się w szpitalu wtedy i niestety po trzech czy czterech dniach zmarła. To było akurat w dniu z Wigilii na pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia w grudniu. A ta trójka zmarła na epidemię czerwonki i w 1944 roku w lutym zmarła nasza ciocia na tak zwane odmrożenie płuc, czyli ropne zapalenie płuc, na które tam bardzo wielu z nas chorowało, ale niektórzy wychodzili, ale raczej większość nie. A później były różne tarapaty, ja się znalazłam w pewnym momencie w sierocińcu, bo był straszny głód i postanowiliśmy... Właściwie nie ja, pewnie nie postanowiliśmy, tylko mój brat z cicią Muszką, bo już wtedy byliśmy pod jej opieką, a ten sierociniec powstał rok wcześniej, już jak powstało ZPP, czyli Związek Patriotów Polskich tak zwany, bo to głównie był Związek Żydów Polskich, a nie Polaków, ale byli w końcu obywatelami Polski, więc tak to się nazywało. Nie był to szczęśliwy związek dla nas, bo różne rzeczy w związku z tym się działy, ale Polaków było mało, mała grupa była członkami Związku Patriotów Polskich. W każdym razie sierocińce polskie tak zwane powstały wtedy, jak powstał związek, bo on organizował te sierocińce. Przedtem było mnóstwo sierot, to były jakieś takie między swoimi grupami, które miały te sieroty, były jakieś takie organizowane, coś w rodzaju opieki jakiejś nad sierotami. Wracamy do Bytomia. W Bytomiu była moja babcia z jedną ze swoich córek, z jej rodziną i tam byliśmy... Aha, i w międzyczasie stryjeczna siostra mego ojca nawiązała, jeszcze jak byliśmy na Syberii, ponieważ moje wujostwo straciło dwóch dorosłych synów w czasie Powstania i byli sami, więc ktoś z rodziny ich namówił, żeby się starali może nawiązać kontakt z nami i żeby nas wyciągnąć z tej Syberii. Nie udało im się oczywiście tego zrobić. Jak wróciliśmy, to już oni jakieś rozmowy przeprowadzili z naszą babcią i babcia się zgodziła na to, żeby oni nas wzięli pod swoją opiekę. Nie bardzo nam to było może... Nie bardzo myśmy chcieli, bo myśmy chcieli z babcią, którą kochaliśmy i to była jedyna właściwie taka najbliższa dla nas osoba, ale w końcu jakoś zgodziliśmy się. Wujostwo mieszkali, byli w Warszawie oczywiście w czasie całej wojny, Powstania i wszystko, i później wylądowali w Milanówku. To było takie miejsce, gdzie bardzo dużo Warszawiaków później bywało i to całe podziemie znalazło się w Milanówku i nazywany był długo, długo później jeszcze Milanówek polskim Londynem. Pewnie państwo to znają. I byliśmy jeszcze u babci, później spędziliśmy gdzieś u rodziny mego ojca wakacje i gdzieś we wrześniu wylądowaliśmy w Milanówku w naszej wiosce. I właśnie jak znaleźliśmy się tam w tych Brzezinach Śląskich, to była miejscowość Brzeziny Śląskie. Taka, jak to... Coś chciałam powiedzieć, ale mi wyleciało z głowy. W każdym razie blisko Bytomia. Mój wuj był chemikiem, ciocia też pracowała gdzieś tam w kopalni jako już nie wiem, gdzieś w biurze, bo w ogóle była historykiem sztuki, więc nie bardzo było wtedy jakieś... Nie można było jakiegoś zajęcia w tym znaleźć. I tak. I wróciliśmy, właściwie tak, wróciliśmy do niczego. Jakiś czas byliśmy tam u wujostwa i z babcią, majątku już nie było, domów nie było, nikt nie miał swoich domów,

bo właściwie tu albo w Warszawie wszystko było zbombardowane, albo różne były inne jeszcze historie, że ludzie musieli się wynieść ze swoich domów. No i...

**Anna Pietraszek:** Czyli jedna część rodziny straciła wszystko przez Niemców, a druga przez...

**Anna Kawecka:** A druga przez Rosjan, tak. Tak to wyglądało, że rzeczywiście nasza rodzina była poszkodowana i przez Niemców, i przez Rosjan. Mnóstwo osób zginęło w Oświęcimiu, w innych obozach. W Warszawie mnóstwo osób zginęło z młodzieży, dużo bardzo. Kilkanaście osób z mojej rodziny. Jeszcze była taka rodzina w słynnym Zbydniowie, nie wiem, czy państwo wiedzą, co to był Zbydniów. Zbydniów to był majątek ze strony mojego dziadka Podlewskiego, mojej mamy znaczy, rodziców mojej mamy, który w sandomierskim się znajdował i tam była ta słynna taka masakra w 1943 roku, gdzie na weselu cała rodzina zginęła, została zamordowana. Tam się uratowało wtedy z tej kilkunastoosobowej rodziny dwóch moich kuzynów, którzy doszli do Warszawy i brali udział w obronie... Boże, jak to więzienie się nazywało w Warszawie?

**Anna Kawecka:** Pawiak.

**Anna Pietraszek:** Pawiak, tak. W odbiciu, brali udział w odbiciu Pawiaka, jeden zginął na Powązkach, drugi był ranny, później był na Pawiaku i tam go wykończyli. I tak się skończyła historia Zbydniowa. Więc rzeczywiście nasza rodzina była strasznie, strasznie jakoś tak się... Jakoś odczuła tę straszną wojnę. Bardzo mało nas...

**Anna Pietraszek:** A jak te dwoje...

**Anna Kawecka:** ...się uratowało.

**Anna Kawecka:** ...tych dwoje małych dzieci, jak przyjechało do Brześcia, to jakie mieliście przy sobie rzeczy?

**Anna Pietraszek:** No, w międzyczasie jak wracaliśmy, to już co prawda ta podróż była inna bo już mieliśmy otwarte drzwi, już nie było zakratowanych okien, mogliśmy sobie wychodzić przy każdym postoju, ale ogłoszono przed Brześciem, ileś tam kilometrów, już nie pamiętam, gdzie to było dokładnie, ale w każdym razie wiadomo było, że to dojeżdżaliśmy już niedługo do granicy, ogłoszono, że będzie rewizja, jeżeli cokolwiek znajdą, co będzie coś trefnego, to oczywiście cofają wszystkich z powrotem i to nie tylko ci, u których znajdą, tylko cały eszelon pojedzie z powrotem. I oczywiście wszyscy wpadli w panikę. Myśmy mieli dużo rzeczy, które myśmy bardzo chcieli dowieźć do Polski, bo było dużo notatek mojej mamy, było dużo dokumentów. Mieliśmy taki cudowny też śpiewnik patriotyczny, taki gruby dosyć, gruby, pamiętam, kolorowy. Taki mniej więcej troszkę mniejszy od tego albumu. I to wszystko niestety, rozpaliliśmy ognisko i wszystko poszło. Wszystko poszło. Tak że jedyna rzecz, którą myśmy przywieźli, to była taka dość gruba książeczka do nabożeństwa, mojej mamy, gdzie zapiski są, to ma moja córka. Tam jest dużo takich różnych.

**Anna Pietraszek:** Czy po mamie została książeczka?

**Anna Kawecka:** Książeczka do nabożeństwa, gdzie moja mama między wierszami zapisywała różne swoje przeżycia. Uratowało się też dużo listów, które jeszcze przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej, korespondencja była bardzo częsta i tych listów było mnóstwo. Z listów mojej mamy do rodziców, do rodziny, to udało nam się też tutaj i od rodziny to wszystko przejęliśmy . Więc to jest mapka Kazachstanu, Omsk to już jest poza Kazachstanem, tam, skąd zaczęliśmy swoją drogę boleści na Syberii. I to są miejsca naszego pobytu. Tu jest to, gdzie byliśmy jeszcze rozłączeni, to jest koło Semipałatyńska, taka mała rzeczka, dopływ Iszymu, nazywała się Kyzyl-Suu. A Kyzyl-Suu to znaczy czerwona rzeka. Tam w czasie rewolucji masę ginęło ludzi i krwią spływała rzeka i stąd jest Kyzyl-Suu. I ta Pojma mała i górzysty bardzo teren, i mnóstwo wielbłądów. Tu później... To jest ten Pawłodarsk, z którego Omsk, pierwsze miejsce, później Pawłodar, skąd nas rozwożono znowu w różne miejsca, tu jest taki zespół różnych kotchozów, różnych ferm tak zwanych, gdzie nas przeczucali ciągle z miejsca na miejsca, później Dżołkuduk jest też takim miejscem, do którego wracaliśmy, wyjeżdżaliśmy. Jermak jest bardzo ważny, bo tu się bardzo dużo działo różnych tragedii dotyczących mojej mamy. I później tu jest Celinograd, czyli ta Astana w tej chwili i stolica, co znaczy po prostu „stolica”, ten wyraz. Później tu jest Ałbasar, Jesil, to tutaj jest trójka pochowanych. Moje rodzeństwo i babcia. W Ałbasarze jest mama i ciocia pochowana. To już jest ostatnie miejsce pobytu naszego. A tutaj są to, jak nas przewieziono do Jesila, to już było po wybuchu wojny, to był 1942 rok, po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej, i tu głównie zatrudniano kobiety do budowy linii kolejowej, więc były tak zwane rozjazdy i tam były budowane jakieś takie baraki, namioty czy coś. I tam ciężka praca, bo to kobiety z takimi szczypcami układały na torowiskach szyny. To było coś potwornego, jaka ciężka praca. Zerwane później były różne części, wnętrzności. Była taka pani, której wypadało wszystko na przykład, bo miała wszystko pozrywane i osób dużo ginęło przy tej pracy, i to były tutaj na tej, z tego Celinogradu, czyli Astany do Kokrzetawa i później druga droga to była z Celinogradu do Karagandy. To było taki strasznie ciężki obóz w kopalni, łagier taki okropny, gdzie ludzi strasznie ginęło dużo, w Karagandzie właśnie. Kopalnia węgla ogromna. I trzeci taki szlak budowy, to był Ałbasar, Celinograd, Ałbasar, gdzie się budowało linie. I tam po prostu te kobiety padały jak muchy przy tej pracy. Strasznie dużo tam ginęło.